

Zbigniew Zyglewski

Spór o drewno między bydgoskimi karmelitami a mieszczaninem Walentym Warskim z 1741 roku

Zazwyczaj, omawiając zagadnienia natury religijnej, bada się wpływ kleru na ludność świecką, pobożność i działalność fundacyjną. Rzadko zwracamy uwagę na inne powiązania świeckich z duchowieństwem. Niekiedy dochodziło między tymi grupami do konfliktów na różnym tle, które nieraz przeradzały się w bójki, nawet z udziałem niebezpiecznych narzędzi prowadzących do mniejszego lub większego rozlewu krwi. Jedno z takich starć odnotowały źródła w roku 1741. Sprawa ta nie jest nowa, była już w literaturze przedmiotu sygnalizowana¹, warta jednak bliższego przyjrzenia się. W Bydgoszczy podobne sprawy zdarzały się od czasu do czasu, nie tylko z udziałem karmelitów. W świetle zachowanego materiału związki między mieszczanami a zakonnikami nie układały się najlepiej, czasami nawet niewiele miały wspólnego z dziesięcioma przykazaniami.

Karmelici sprowadzeni do Bydgoszczy pod koniec XIV wieku w ciągu następnego stulecia, a także w XVI wieku zgromadzili pokaźny majątek. Stali się właścicielami Jachcic, dóbr leżących na północny wschód od Bydgoszczy (dzisiaj dzielnica miasta). W skład ich majątku wchodziła wieś, młyn, a także las. Ten ostatni element był narażony na nieustanne grabieże ze strony mieszczan.

¹ E. Alabrudzińska, *Z dziejów karmelitów bydgoskich*, „Kronika Bydgoska” 1986-1988, t. X, s. 173-174; F. Mincer, *Kultura, nauka i szkolnictwo w latach 1466-1772*, [w:] *Historia Bydgoszczy*, t. 1, do roku 1920, red. M. Biskup, Warszawa-Poznań 1991, s. 323; idem, *Historia Bydgoszczy do roku 1806*, Zielona Góra 1992, s. 286. We wszystkich tych opracowaniach podawane jest błędnie imię Warskiego – Adolf zamiast Walenty.

Zeznania przed sądem złożone w końcu lipca 1746 roku pokazują skalę tego zjawiska, a także metody pozyskiwania drewna oraz osoby żyjące z tego procederu². Nielegalnym wyrębem drewna klasztornego zajmowała się dość pokaźna grupa zamieszkująca przedmieścia. Drewna nie rabowali na własne potrzeby, lecz na zlecenie możnych osób.

Złodziejskim zajęciem parął się Tomasz Fabiszczak mieszkający na Grodztwie oraz jego lokator Marcin. Ponadto wycinkę prowadził Grzela Zachcicki, niejaki Rumny czy też Kołodziejczak, a także Mateusz Zachcicki (Jachcicki), komornik z Jachcic mieszkający u tamtejszego komornika Wojtka Górnego.

Wycinka i wywózka drewna odbywały się w biały dzień i były dobrze zorganizowane. Gdy brakowało rąk do pracy, to starano się pozyskać jakiegoś pracownika. Mateusz – komornik z Jachcic, udając się na robotę do pana Rychlickiego, został zaprowadzony przez niejakiego Rumaja do lasu, ku Smukale, gdzie wycinano drzewo w karmelickim lesie. Na miejscu zastał wiele wyciętych drzew i pracującego w pocie czoła Tomka z Grodzta. Oczywiście przykazali Mateuszowi nie rozpowiadać o tym, co widział. W Smukale karmelicki las dochodził do rzeki Brdy, toteż nie było większych problemów z jego transportem. Ścięte pnie toczono do rzeki, a tam zbijano je w tratwy. Z innych miejsc trzeba było drewno wywieźć. Czyniono to przy pomocy zaprzęgów z własnego bydła, tak jak to robił np. Fabiszczak. Tak postępowali złodzieje z lasu przy granicy miejskiej od Bocianowa czy też od strony pól należących do wsi Jachcice. Grzela Zachcicki wywiózł pokaźną liczbę pni z Małego Boru, należące do zakonników.

Przyjrzyjmy się, kto był odbiorcą kradzionego drewna. W aktach sądowych wzmiankuje się pana Nogowskiego, Bukowskiego, Rychlickiego, pi-sarka pana Smukalskiego. Osoby te są trudne do jednoznacznej identyfikacji. Ale możemy stwierdzić, iż w latach 1742-1765 burmistrzami miasta byli Mateusz Rychlicki, Franciszek Smukalski, Jan Nogowski³. Na obecnym etapie trudno przypisać włodarzom miasta czerpanie zysków z nielegalnego wyrębu klasztornego lasu. Być może dalsze szczegółowe badania dadzą jednoznaczną odpowiedź na te kwestie.

Trudno określić wielkość owych wycinek. Mamy jedynie szczątkowe dane, które jednak dają jakieś wyobrażenie o skali procederu. Marcin z Grodzta przyznał się do udziału w czterech wyrębach. Przed Zielonymi Świątkami ścięto dziewięć drzew, przed św. Janem dziesięć sztuk, później jeszcze osiem.

² Archiwum Państwowe w Bydgoszczy [dalej cyt. APB], Klasztor Karmelitów w Bydgoszczy [dalej cyt. KKB], sygn. 47, k. 97-98, 102.

³ F. Mincer, *Dzieje polityczne Bydgoszczy w latach 1466-1772*, [w:] *Historia Bydgoszczy...*, s. 250.

Fabiszczak za jednym razem wyciął jedenaście drzew, natomiast Mateusz z Jachcic brał udział w dwóch zwózkach po dwadzieścia drzew każda.

Trudno też określić przeznaczenie kradzionego drewna. Tylko raz zapisano, iż jedenaście drzew zamówił pan Bukowski na wręgi do statków. Cena tego towaru była różna, uzależniona od jego jakości czy też długości drewna. Sprzedawano drzewa długie na trzy sążnie (1 sążień = 1,78 m⁴), a nawet na sześć sążni. Najczęściej złodzieje sprzedawali je po dwadzieścia groszy za sztukę. Inną popularną ceną był szóstak (moneta wartości sześciu groszy⁵) za sztukę, a niekiedy ośmiak. Złodzieje dzielili się pieniędzmi sprawiedliwie, zazwyczaj na równe części wśród biorących udział w wyrębie. Były też osoby zajmujące się jedynie zwózką drewna, tak jak niejaki Grzela z Jachcic, który za swoją pracę pobierał pięć groszy od sztuki. Obrót kradzionym drewnem przynosił duże dochody. W 1759 roku za jeden dyl przeznaczony do mostu na Brdzie długości siedmiu sążni miasto płaciło aż dwa floreny⁶ (60 groszy). Dyl było to drewno obrobione siekierą lub też gruba deska⁷, a więc w cenę wliczono również obróbkę drewna. Na tym przykładzie można uznać, iż cena kradzionego wynosiła około połowy ceny drewna legalnego. Nie może więc dziwić proceder kradzieży drewna, i to nie tylko z lasów zakonnych. W 1745 roku z lasów starostwa bydgoskiego położonych w Białych Błotach nielegalnie wycięto 17 drzew z rozkazu burmistrza miasta Franciszka Smukalskiego. Kradzież zauważono i oddano sprawę do sądu⁸.

W świetle powyższego zestawienia wyraźnie widać, iż kradzież drzewa z karmelickiego lasu trwała permanentnie. Wycinki drzew dokonywano średnio raz w miesiącu i jednorazowo zabierano kilkanaście drzew. Wydaje się, iż czyniono to na zamówienie i wyszukiwano odpowiednie drzewa, które miały swoje konkretne zastosowanie.

Ten proceder zapewne nie uszedł uwadze zakonników, ale trudno było złapać złodzieja na gorącym uczynku czy też wykazać prawa do ściętego już drewna.

Poniższe wydarzenia zostały ustalone przez bydgoski sąd konsystorski na podstawie szczegółowych zeznań 18 świadków⁹. W poniedziałek, 13 listopada

⁴ *Encyklopedia historii gospodarczej Polski do 1945 roku*, t. 2, Warszawa 1981, s. 256.

⁵ *Ibidem*, s. 368.

⁶ *Rejestry ekonomiczne miasta Bydgoszczy z lat 1742-1761-1765*, wyd. R. Kabaciński, Poznań 1970, s. 165.

⁷ S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. 1, cz. 1, Warszawa 1807, s. 571.

⁸ Archiwum Państwowe w Poznaniu, Oddział Bydgoszcz, 90, k. 436v.

⁹ Zachował się poszyt liczący 134 karty, zawierający odpisy dokumentów dotyczących tego sporu zebrane przez karmelitów, APB. KKB. sygn. 47. Kopia przebiegu wypadków oparta na zeznaniach świadków znajduje się w APB, Akta parafii katolickiej św. Marcina i św. Mikołaja w Bydgoszczy, sygn. 2, k. 143-146.

1741 roku podczas toczącego się w mieście jarmarku doszło do bójki między Walentym Warskim, mieszczaninem i ławnikiem bydgoskim oraz jego ludźmi a karmelitami. Zakonnicy, uznając, iż Warski ukradł drewno z klasztornego lasu w Jachcicach, starali się je odzyskać. Konflikt ten na niwie prawnej trwał jeszcze następne dwa miesiące. Oczywiście każda ze stron widziała powody konfliktu i przebieg wypadków odmiennie, więc dość trudno jest ocenić te wydarzenia, a zwłaszcza wywieść jego genezę.

Nie wiadomo, w jaki sposób zakonnicy dowiedzieli się o kradzieży drzewa z ich boru, które miało być złożone na Przedmieściu Gdańskim, na gruncie miejskim między spichrzami. Karmelici nie chcieli samowolnie zabierać swojej własności, więc wysłali swojego prokuratora do burmistrza z prośbą o zgodę na przeniesienie drewna do klasztoru. Jan Nogowski – zwany w źródłach tej sprawy Prezydentem – był ciekaw, w jaki sposób zakonnicy ustalili, iż jest to ich drewno. Prokurator najwidoczniej nie był zorientowany, ogólnie stwierdził więc, iż drewno posiada jakieś znaki własnościowe klasztoru. Włodarz miasta na stole nakreślił bliżej nieznaną znak, a zakonnik uznał jego identyczność z tymi na drzewie. Jak się jednak okazało, był to znak własnościowy Walentego Warskiego, dobrze znany burmistrzowi miasta. Ten też sugerował, by zapytać się Warskiego o owo drewno. Prokurator znalazł inne wyjście – chciał uzyskać zgodę burmistrza na zabranie przedmiotu sporu, a sam zainteresowany natychmiast się znajdzie. Burmistrz uznał jednak takie rozwiązanie za bezprawie.

Zdaje się, iż zakonnicy mieli jakieś podstawy, by twierdzić, iż jest to drewno skradzione z ich lasu. Świadców biorący udział w rozprawie z 15 stycznia 1742 roku zeznali, iż rzeczywiście Warski kupił drzewo, ale pochodziło z boru jachcickiego „złodziejskim sposobem przez kogoś wywiezione”. Z kolei drugi świadek wiedział i słyszał, iż burmistrz pozwolił karmelitom zabrać drzewo składowane obok spichlerza. Ponadto Warski miał drzewo, ale nie miał lasu, więc zdaniem zakonników musiał wyciąć 12 drzew z lasu klasztornego.

Sam Warski nie cieszył się dobrą opinią. Raczej należy go zaliczyć do krętaczy, o czym zaświadcza sprawa z 26 stycznia 1742 roku zgłoszona do bydgoskiego sądu grodzkiego.

Skarżył się Szymon Orlikowski, iż chciał przesłuzować 11 kop drzewa przez służę po pięć tyńfów od kopy, według dawnego zwyczaju. Warski, który najwidoczniej był odpowiedzialny za pobieranie opłat z tego tytułu, żądał sześciu tyńfów i nie chciał się zgodzić na niższą stawkę. Bogusław, syn Orlikowskiego, uzyskał kwit zapłacenia, lecz Warski wraz z szafarzami starali się ów dokument mu odebrać. Naszli Bogusława w gospodzie, odebrali mu kwit

i zanieśli Warskiemu. Ten wystawił nowy dokument po pięć tynfów. Ponownie naszli syna w gospodzie, a ten oskarżał o sfalszowanie kwitu. Warski zaprosił go do swojej gospody i tam nowy kwit wciskał, lecz ten został podarty. Słudzy miejscy szablą wygnali szlachcica.

Wracając do wydarzeń z 13 listopada, należy stwierdzić, iż po obiedzie zakonnicy przy pomocy swojej czeladzi zaczęli zwozić drzewo. Najpierw wzięli jedną sztukę drewna na wóz i podążali w kierunku klasztoru. Gdy byli przed bramą prowadzącą na podwórze klasztorne od strony dzisiejszej ulicy Focha, pojawił się na koniu Warski. Z wielką furią szablą ugodził w głowę klasztornej woźnicę. Na szczęście ten miał założoną czapkę, więc się tylko wywrócił, a Warski jeszcze go ciął w palec. Podobno chciał mu rękę uciąć, tylko Bóg do tego nie dopuścił. Ponadto dobył siekiere wbitą w drzewo, a woźnica, pozbierawszy się z ziemi, uciekł w mury klasztorne, dając znać ojcom. Na tym się nie skończyło, gdyż prokurator zakonny, usłyszawszy hałas, udał się do wozu, gdzie zastał Warskiego. Ten „obaczył księdza, skoczył na koniu ku księdzu siekiere w rękę trzymając, chciał nią księdza Prokuratora uderzyć”, lecz ten odskoczył w bok. Warski przy tym głośno wyzywał karmelitów, tak że świadkowie to doskonale słyszeli. „Wy skurwysynowie, popi, złodzieje, kurewnicy, i inne żelżywości, co mu tylko ślina do gęby przyniosła, zapamiętałe wołał”. Na ten wrzask przybył zakonnik zakrystian i chciał odzyskać klasztorne konie, które za cugle trzymał mieszczanin Walenty. Wywijął nad jego głowę siekiere, „mówiąc idź popie bo cię walnę obuchem”. Warski napadł też na Bartłomieja, palacza klasztornej, który pojawił się w bramie przy murze konwenckim. Najpierw nim potrzasał, następnie dwa razy obuchem siekiery uderzył w łopatkę, a trzeci raz ostrzem się zamierzył, lecz nie trafił, gdyż siekiera się wykrzywiła. Rychło pojawili się zakonnicy, chyba w większej liczbie i przestraszyli napastnika, który z ową siekiere udał się do miasta i tam zwał się z niektórymi mieszczanami i służbą miejską.

Po jakimś czasie Warski powrócił bez siekiery, a wraz z nim przybyło sześciu ludzi. Przyszedł też Adam Krzymiński, pacholek miejski, po którego on wysłał umyślnego. Ponadto zjawiła się żona Warskiego, Barbara oraz Dorota Lewandowiczowa, jej matka. Walenty stanął pod spichlerzem, zsiadł z konia i głośno wołał, grożąc, że zabije zakonników, jak się do niego zbliżą. Ci przyglądali się tylko jego poczynaniom. W odpowiedzi usłyszał od zakonników, iż drzewo jest kradzione z boru klasztornej i zgodnie z zaleceniem burmistrza zabrali je do siebie. Prosil także, aby nie podburzał zgromadzonych gapiów i nie wyzywał karmelitów. Warski, gdy usłyszał o decyzji wóldarza miasta, zaraz go wyzywał. „Jest to szelma, hycel, skurwysyn, a nie Prezydent”, za szablę chwycił i nią trzaskał, wywijając przy tym czapkę i tupiąc nogami.

Zakonnicy przez cały czas zatargu nie zrezygnowali ze zwózki drewna. Po rozładowaniu pierwszego wozu udali się po następne drzewo. W trakcie ponownej wizyty Warskiego pod mury klasztorne zajechał drugi wóz z drzewem, zaprzężony w parę koni, powożony przez brata Kajetana, klasztornego szafarza. Do niego doskoczył Warski, gwałtownie pchnął brata Kajetana, „że się w znak wywrucił, potym go nogą deptał i kopał”, do tego uderzył go w twarz, robiąc bliźnię podkówką na bucie. Dobywszy szabli, trafił w lewą rękę Kajetana, trzymając szablę, miał go dwa razy płazować po karku i ramionach, potem chciał go sztychem pchnąć, mówiąc, że go zabije. Szczęśliwie zakonnik się nieco odsunął, więc szabla nie dosięgła głowy, bo – jak zeznaje świadek – zapewne padłby martwy.

Widząc to wszystko, bracia jedynie perswazją bronili zakonnika. Warski na nic nie zważał, obrócił się i uderzył zakrystiana szablą w głowę, nad obojczykiem, za jednym zamachem przeciął mu kaptur i szkaplerz (wierzchnie ubranie zakonnika¹⁰). Zakonnik odskoczywszy, chwycił za gołą szablę, chcąc mu ją wyrwać i zawołał na prokuratora, aby mu pomógł. Sami nie mogli wydrzeć szabli, gdyż trzymali i pomagali Warskiemu mieszczanin Adam Krzeźmiński, Wojciech Fabiszczak z Grodzta i inni nieznajomi. W walce o szablę największy uszczerbek poniósł zakrystianin, gdyż miał nadcięty palec. Natomiast Warski zaschniętą na szabli krwią chwalił się nawet w konsystorzu bydgoskim przed panem pisarzem. Ponadto nawoływał ludzi stojących pod spichlerzem, aby bili zakonników, lecz oni nie włączyli się do bójki.

Na koniec podprzeor poszedł do klasztornych koni, chwycił za lejce i chciał je skierować do klasztoru. Dalej mamy dwie odmienne wersje wypadków. Według jednej sługa miejski Antoni Dembowski krzyczał, iż burmistrz zmienił zdanie i zakazał brania drewna. Sam zaś obuchem uderzył podprzeora i zabrał jednego konia, a Fabiszczak drugiego. Według drugiej wersji to Warski zawołał na sługę miejskiego, by zabrał konie z wozem. Pani Warska chwyciła podprzeora za rękę, wtedy to Dembowski uderzył obuchem konia, a Fabiszczak drugiego kijem, oba ruszając, przewróciły Barbarę Warską oraz zakonnika.

W czasie tego tumultu Warskiego wspierała jego żona, będąca zresztą w ciąży. Szarpała zakonników, a później za radą męża poszła konie wydzierać z rąk podprzeora. Wraz z zakonnikiem zwała się na ziemię. Upadek był groźny, gdyż według wypowiedzianych wówczas przez jej męża słów, poroniła i od razu na miejscu oraz w konsystorzu obarczyła karmelitę winą za poronienie. Warski powtarzał, iż „Subprzeor publicznie przy ludziach wlaźł mi na żonę

¹⁰ S.B. Linde, op. cit., t. 5, Lwów 1859, s. 583.

i chciał jej dziecko zrobić jakbym ja nie potrafił”. Cały sytuacja związana z wyróceniem się zakonnika i pani Warskiej została natychmiast ubarwiona. Na drugi dzień Warski z żoną w sądzie landwójtowskim mówili o upadku, ale już o poronieniu czy też wyczynach podprzeora nie wspomiano.

Świadek zeznający w sądzie uważał, iż matka żony Warskiego nie chciała odwieść zięcia od tumultu, lecz wprost przeciwnie – sama podburzała, poczęła lżyć i szarpać honor zakonny niepowściągliwym i wyuzdanym językiem swoim, krzycząc na cały głos: „Wy skurwysynowie, złodzieje kurewnicy, cudzołożnicy, kurwiarze popy”. Krzyczała też do podprzeora: „Poczekaj jeno ty kurewniku przyprowadzę ci pięciu bękartów własnych do furty”.

Antoni Dembowski, sługa miejski i Wojciech Fabiszczak pognali konie z wozem do miasta, chełpiąc się, iż dobrze uczynili. Warski, dogoniwszy konie na moście, dobytą szablą pogonił je przez rynek do swojej kamienicy. Zakonnicy zaś udali się do klasztoru. Na tym się jeszcze nie skończyło, albowiem Fabiszczak, przeczuwając dalszy rozwój wypadków, upadł do nóg prokuratora i podprzeora prosząc, aby go na świadka nie wzywali, gdyż był na służbie pana Warskiego.

Obie strony natychmiast zaczęły dochodzić swoich praw w sądach. Walenty Warski starał się odzyskać drewno i całą winę za bójkę pragnął przerzucić na zakonników. Natomiast ci w sądach kościelnych chcieli odzyskać konie i wóz uprowadzone przez Warskiego, domagali się także pokrycia strat wynikających z niemożności kwestowania z braku koni i zwrotu kosztów poniesionych w sądach.

Warski wraz z małżonką pierwsze kroki skierowali do urzędu landwójtowskiego w Bydgoszczy. Tutaj szczegółowo zaprezentowali swoją wersję wydarzeń, zresztą bardzo odmienną od tej zrekonstruowanej na podstawie zeznań świadków. Ich zdaniem karmelici niesłusznie zabrali sześć sztuk drzewa do nich należących. Miały one pochodzić z borów szlacheckich, zostały wycięte jakieś 12 tygodni wcześniej, zwiezione do miasta i złożone na gruntach miejskich. Tutaj Warski je nabył i oznaczył, lecz zostały zabrane przez zakonników. Gdy się dowiedział o zwózce, pospieszył konno i zobaczył drzewo na zakonnym wozie. Podczas wypytywania o drewno braciszek zakonny z innymi zwałił go z konia na ziemię i obrzucił wyzwiskami. Karmelici usiłowali wykazać, że mają prawo do tego drewna, gdyż od burmistrza otrzymali zgodę. Warski, chcąc pokojowo dochodzić swych praw przed sądem, zostawił im własnego konia pod zastaw. Niestety, zakonnicy szukali zaczepki, jeden z nich wyjmując Warskiemu szablę, uszkodził sobie palec, potem gwałtownie szarpał, aż podarł ławnikowi kontusz. Ludzie z konwentu z drągami nastawiali na życie Warskiego. Ponadto podprzeor gwałtownym impetem doprowadził do upadku

na ziemię żonę Warskiego, którą kopał, walił kolanami, palec u ręki wyłamał, także trzeba było palec naciągać u prawej ręki. Pokazał też zadrapania na własnym palcu, także kontusz czarny, który miał na sobie, z wydartym prawym rękawem. Wszystko to uczynili zakonnicy.

Następnego dnia obie strony udały się do sądu grodzkiego ze skargą. Warski jako dowód prezentował w kancelarii grodzkiej owe konie.

Ponadto zakonnicy poszli do konsystorza, czyniąc obdukcję. Zjawili się pokrzywdzeni w bójce: Jan Kantus od św. Edwarda, zakrystianin, Awertyn od św. Piotra i Pawła, prokurator, Kajetan, szafarz i Józef Mech, woźnica. Zakrystianin zaprezentował dziurę w szkaplerzu, a także drugą w habicie. Natomiast brat Kajetan okazał duży siniak na prawej nodze. Podobne obrażenia okazał woźnica, z tym że były na ręce. Zakonnicy oskarżyli Walentego Warskiego o kradzież drzewa z lasu zakonnego, a także jego żonę Dorotę oraz Lewandowicza i jego żonę Barbarę o zamieszki, wyzwiska i zabranie koni z wozem.

Podczas innej wizyty w tymże sądzie klasztor reprezentował podprzeor Lambert od św. Franciszka oraz Awertan od św. Piotra i Pawła, prokurator. Złożyli skargę na Warskiego, ławnika i mieszczanina, Barbarę Lewandowiczową, Adama Krzemińskiego, Dorotę Lewandowiczową, Andrzeja Lewandowicza, Antoniego Dembowskiego, Fabiszczaka, że w dniu 13 listopada napadli zakonników podczas zwozki drzewa do klasztoru. Katalog zarzutów był długi. Oskarżali Warskiego o wystąpienie przeciwko zakonnikom i ich życiu, zabranie koni kwestarskich z wozem, przez co pozbawił zakonników jałmużny. Pod adresem pozostałych sformułowano zarzuty o wulgarnych odzywkach na drodze publicznej do zakonników, przywołując liczne paragrafy.

Ponadto zakonnicy złożyli skargę do sądu świeckiego, w tym wypadku bydgoskiego sądu grodzkiego. W piątek 17 listopada zjawił się Gerard od św. Jakuba, przeor karmelitów ze skargą na Warskiego o zajęcie przez niego koni kwestarskich z wozem podczas zwożenia drzewa do konwentu z ziemi miejskiej zgodnie ze zgodą burmistrza.

Równolegle zakonnicy wnieśli do konsystorza bydgoskiego sprawę przeciw burmistrzowi Janowi Nogowskiemu o zniesławienie i zarzuty przywłaszczenia drewna z gruntów miejskich. Najwidoczniej burmistrz dokładnie śledził całą sprawę, również pozwy sądowe, skoro 5 grudnia 1741 roku udał się do urzędu konsystorskiego w Bydgoszczy po uzyskaniu wiadomości o wniesieniu protestacji przez zakonników. Tam odpierał wszystkie zarzuty, tłumacząc, iż zakonnicy naszli grunt miejski i mieli jakoby zgodę na zabranie kilku drzew sosnowych, co było nieprawdą oraz dali publiczne zgorszenie. Dziesięć dni później bracia złożyli notę przeciwko Janowi Nogowskiemu, domagając się rehabilitacji zakonników i oczyszczenia ich ze wszystkich zarzutów podnoszonych przez

burmistrza. Na tym się nie skończyło, gdyż 30 grudnia Lambert, subprzeor oraz Awertyn, prokurator w konsystorzu wystąpili przeciwko burmistrzowi, twierdząc, że jest opiekunem i broni Warskiego. Ponadto posądzono go o prywatę.

Sprawa między karmelitami a ławnikiem bydgoskim wyszła poza miasto, trafiając do Włocławka i tamtejszego biskupa. Już 6 grudnia 1741 roku Franciszek Konigłowski, biskup sufragan włocławski, scholastyk i administrator apostołski diecezji włocławskiej, a także archidiakon płocki pod groźbą ekskomuniki wezwał przed sąd Walentego Warskiego, jego żonę Barbarę, Dorotę Lewandowiczową, Andrzeja Lewandowicza, Adama Krzemińskiego, Antoniego Dembowskiego, Wojciecha Fabiszczaka. W pozwie sformułowano zarzuty pod adresem Warskiego, iż był prowodyrem zajść, znieważył zakonników, użył broni i groził im śmiercią, rozciął habit i szkaplerz, zabrał klasztorne konie i pozbawił zakonników jałmużny. Na tym się nie skończyło. Biskup 29 grudnia ponownie wezwał obwinionych do konsystorza, tym razem wyznaczając termin rozprawy na 15 stycznia 1742 roku. Rozprawa miała się toczyć w konsystorzu bydgoskim w obliczu duchownych komisarzy wyznaczonych przez biskupa. W gronie tym byli: Marek Makulski, pleban z Drzycimia, Bartłomiej Trochowski, serocki, Szymon Minkiewicz, kanonik kruszwicki, oficjał bydgoski, proboszcz fordoński oraz Antoni Lankiewicz, dziekan foralny bydgoski, pleban wteleński.

W wyznaczonym dniu doszło do rozprawy. Przesłuchano pokaźną grupę świadków. W aktach odnotowano Franciszka Fabiszaka, Wojciecha Kołodziejczaka, Antoniego Szlachetkę z Gogolinka, Wojciecha – woźnego z Mochla, Jakuba – jego zięcia, Jana – woźnicę, Jakuba – ogrodnika, Antoniego Nagajkowskiego – pisarka pana Nogowskiego, Mateusza Tabernato – chłopca z Żołędowa, Michała Lubiewskiego – organistę wteleńskiego, Jerzego – chłopca z Płocinnika i innych. W gronie tym znaleźli się szlachetnie urodzeni: Sikorski z Sierska, jegomość Jakub Stoliński i Melchior Rozwadowski. To dzięki nim znamy nie tylko przebieg wypadków, ale też kalumnie i wyzwiska obszernie przez nich cytowane.

Warski okazał się niewzruszony na różne wyroki sądu i nie kwapił się ze zwrotem koni. Zakonnicy w sobotę 17 lutego 1742 roku wysłali do bydgoskiego konsystorza Marcina od św. Józefa, lektora filozofii ze skargą na brak egzekucji wyroku sądu konsystorza włocławskiego w sprawie zwrotu koni. Jednocześnie 9 kwietnia 1742 roku biskup po raz kolejny wystosował pozew przeciw Warskiemu i jego kompanii. Pisma dotarły do Bydgoszczy i 26 kwietnia Jan Franciszek Gliszczyński, zakrystianin kościoła św. Krzyża, zresztą nieumiejący pisać, przystąpił od roznoszenia pozwów z terminem stawienia się na 7 maja.

Sprawa między zakonnikami a Warskim przeciągała się i najwyraźniej główny jej bohater zaczął dążyć do ugody. Pośrednikiem w rozmowach między

stronami był burmistrz miasta. Jan Nogowski wystosował pismo do przeora Gerarda, proponując mu zawarcie ugody z Warskim. Niestety, dokument ten nie został opatrzony żadną datą. W tym zaledwie kilkudzaniowym liście nie odnajdujemy żadnych propozycji ani kwot pieniężnych. Burmistrz wystosował podobne pismo w sprawie ugody z Panem Lewandowiczem, ale tym razem wymienił kwotę 300 tynfów jako zadośćuczynienie.

W przypadku głównego winowajcy zakonnicy dochodzili znacznie wyższej sumy. Karmelici domagali się od Warskiego wyrównania strat spowodowanych zajściami z 13 listopada. W sobotę 7 lutego 1742 roku złożyli w konsystorzu bydgoskim wyliczenie strat. W związku z zabraniem przez Warskiego koni i wozu domagali się 230 tynfów z tytułu utraty wpływów w gotówce i 433 tynfów za straty żywnościowe z kwesty prowadzonej przy pomocy tego zaprzęgu.

Karmelici dokonali spisu swoich wydatków w związku z procesami sądowymi, ale też i strat, jakie ponieśli. Rachunki są fragmentaryczne i trudno je jednoznacznie podsumować. Zliczając podane kwoty, roszczenia zakonników można określić na ponad 800 tynfów. Na kwotę tę składały się różne pozycje. Zestawiono koszty podróży do Włocławka, koszty pisania i roznoszenia pozwów, koszty podejmowania komisarzy sądowych, a były to sumy niemałe. Samo roznoszenie pozwów po różnych okolicznych miejscowościach, takich jak Żołędowo, Siersko, Drzycim, Fordon czy Gogolinek, kosztowało ponad 20 tynfów. Tygodniowe straty z tytułu niemożności prowadzenia kwesty wyliczyli na 20 tynfów, doliczyli koszty tygodniowego wyżywienia kwestarza na siedem tynfów i woźnicy na cztery tynfy. Ponieważ zamiast kwestować, siedzieli w klasztorze, więc konwent, żywiąc ich, ponosił straty.

Jednak ugoda została zawarta, być może tylko z jednym z napastników. Otóż zakonnicy uzyskali 150 tynfów od burmistrza, co może wskazywać, iż była to połowa sumy proponowanej przez Lewandowicza.

Zachowane akta nie pozwalają na zaprezentowanie finału całej sprawy. Nie wiemy, jak długo jeszcze trwały spory i jak się zakończyły. Burzliwy i bardzo dynamiczny epizod w dziejach miasta ukazuje stosunki między świeckimi a karmelitami. Nie widać tutaj ani powagi stanu zakonnego, ani pobożności. Wprost przeciwnie, wyzwiska, i to bardzo niecenzuralne, gwałty i kradzieże były na porządku dziennym. Ludzie świeccy nic z tego sobie nie robili, niczego się nie bali, ani sądów świeckich czy też duchownych, ani biskupa. Opinie, tak obecnie popularne, o przemożnej władzy Kościoła nad ludem w dawnych wiekach nie znajdują potwierdzenia w źródłach. Opisany wyżej epizod możemy raczej traktować jako przejaw antyklerykalizmu, obecnego w dawnych czasach, ale słabo przebadanego i tym samym słabo znanego.